



FANFARY NA CZEŚĆ ZWYKŁEGO WSPINANIA

Tekst i zdjęcia: Marek "Regan" Reganowicz



Kilt Rock

Trzaskam drzwiami w rozlatującym się volkswagenie i ruszamy w drogę. Wiatr z otwartego okna urywa głowę. Prowadzi Pat. Prowadzi? Zwyczajnie przyciska gaz do dechy i próbuje utrzymać tego gruchota na zakrętach. Bezwiednie wciskam się w fotel ogłuszony dźwiękami „Highway to Hell”. Tak zaczął się mój wyskok do Szkocji.

Z Patem poznaliśmy się w Yo, siedząc przy ognisku na Camp 4 i obgadując różne miejscówki. Wtedy zaproponował wspólny trip po Szkocji, gdzie na stałe mieszka. Założeniem było zwykłe wspinanie bez wielkich trudności, zmuszających do nadmiernego wysiłku, napinania pośladków i dręczenia psyche. Po prostu relaks – zginanie ręki w łokciu w dobrym towarzystwie i przyjaznym otoczeniu.

Tymczasem dojeżdżamy już do Duntelchaig tuż za Inverness, które jest stolicą Highland. Z auta wytażam się złany potem po tej szaleńczej jeździe i ogłuszającej muzyce. Nareszcie słyszę śpiew ptaków i szum wody – jesteśmy w skałach. Granitowe ściany na maksymalnie dwa wyciągi wspinania i porozrzucane wokoło buldery. Wszystko przetkane krzakami z żółtymi kwiatami i otoczone niekończącymi się wrzosowiskami. Jeziora i góry – ludzi nie ma. Rozgrzewkowe ruchy na okolicznych kamieniach zapijamy kolejnymi herbatami i kawami, gadamy i wyglupiamy się. Ale cóż, lina czeka i nie można przejść koło niej obojętnie. Wiążemy się i przechodzimy standardy na Seventy Foot Wall. Skała szorstka i bez śladów wielu powtórzeń. Ciągłe jesteśmy sami w całym rejonie. Ostre krawędki, rysy i płyty – jest wszystko. Oczywiście oprócz spitów – przecież jesteśmy w europejskiej enklawie tradycyjnego wspinania.

Czas wracać, idziemy więc na parking i znowu czeka mnie jazda tym cholernym złodem. No cóż, podobno i tak „Nikt nie wyjdzie stąd żywy”, więc próbuję udawać, że wszystko jest cool. Tym razem ryk silnika skutecznie zagłusza harczenie głośników w rytmie „Szoł mi de lej tu de nekst liski bar” z delirycznym głosem Morrisona. Zraz też trafiamy do tzw. local pub i zanurzamy usta w złocistym płynie z dębowej beczki. Następne, co pamiętam, to smak porannej kawy.

Pakujemy się na parodniowy objazd klifów i zachodniego wybrzeża – namiot, jedzenie, woda, muzyka. Uprosiłem Pata o puszczenie czegoś swojego, bo jakaś sprawiedliwość musi być – w końcu mam polskie uszy. We wspinaczkowym planie mamy klify Burghead i Reiff, skały koło Kinlochewe i Torridon, a na końcu mityczną Isle of Skye (wymawiaj – I love Skye).

Po pół godzinie jazdy jesteśmy w Burghead – piękna kamienista plaża z zacisznymi zatokami. Skała o strukturze pumeksu – szorstka, od czerni po kolor pomarańczowy z dodatkami bieli i brązów. Rysy i wymyścia wypłukane w niezwykle kształty. Szum morza, piasek, kamienne plaże z płaskich okrągłaków i przysiadujące mewy zachęcają do nadmorskiego wspinania i włóczenia się po kolejnych miejscówkach. Może tylko z tymi mewami lekko przesłodziłem, bo to nie takie jak z songów Szczepanika, tylko raczej wzięte wprost od Hitchcocka. Czasami są agresywne i opluwają śliną o silnym rybnym zapachu, wrzeszcząc przy tym jak opętane. Miejscowi radzą zastosować ruch wyprzedzający, czyli złapać ptasióra za szyję i wyrzucić za siebie zanim cię opluje...

Teraz kolej na Reiff na zachodnim wybrzeżu. Ponieważ dzień w tej części Europy jest bardzo długi, spokojnie przed snem załapujemy się na głazowanie wokoło piaszczystej plaży. Z zatoczki widać okoliczne wyspy, a dalej bezkres oceanu. W niedalekim Ullapool zjedliśmy sławne fish & chips, które zdobyło pierwsze miejsce w konkursie krajowym – delicje. W Szkocji nie ma ograniczeń w biwakowaniu, więc namioty rozbijamy tuż koło wody na trawiastych łąkach ponad klifami. Od rana zagładamy do okolicznych zatok i zjeżdżamy na jednowyciągowe drogi. Jest super – to moje ulubione miejsce.

Kolejny biwak. Rano ruszamy do Kinlochewe i Torridon, ale zahaczamy też o jakieś przyrodne skały. Cały czas mkniemy wzdłuż wybrzeża. Widoki są niezapomniane, a tym razem okraszone moimi patriotycznymi pieśniami. Zaczynam od Peji z „Szacunkim ludzi ulicy”, żeby przejść zaraz do Fiska ... „Kiedy jestem tu i tam i pije czarną kawę/Wiem, że utknąłem gdzieś pomiędzy tym co nowe, a tym co stare/Pochylam się nad sobą samym, na-



Neist

kręcąc swój zegarek/ Robię to co lubię, to co robię nie za karę/Choć zbieram punkty karne”.

Pat wytrzymuje dzielnie dawkę polskiego hip-hopu, a nawet prosi o tłumaczenie, kiedy wchodzi stara płyta Bolca „Żeby było miło...” z tytułowym rymem, który leci jakoś tak, jakby o nas: „Gdy odpała już zabawa – zdrowa zadyma, nikt się w niej nie czuje lepszy, ważniejszy. Niech spierdala ten, co czuje tak. Widać sztukę wolnych ludzi. Nie jestem namolny – nie chcesz, nie słuchaj, gdzie indziej szukaj. Traw swoją jazdę dobrą dla ciebie, jak moja jest dla mnie. Na swojej drodze czuję się wolny, choć nie bez wad – taki świat. Większość je ma. Nieskazitelny jest tylko święty, a ja na te rzeczy jestem zbyt zajęty, choć może przyjdzie taki dzień i to się zmieni. A na razie, gdy się bawię, przeskadza mi tylko agresywny wróg – choć jeden więcej, to żaden cud. Bo chodzi o to, żeby było miło, chociaż nie każdy o tym wie. Bo chodzi o to, żeby było miło, chociaż nie każdy buc to czuje”.

My to czujemy... Moje tłumaczenie na język mistrza Williama jest dalekie od finezji Barańczaka, więc różni się Pata i mnie samego. Żeby zrównoważyć to polskie granice, jazdę kończymy przy Heltah Skeltah i Blackalicious z The Craft.

Tak wczuwając się w kocie ruchy, dojeżdżamy do skał niedaleko Aultbea. Później, po 20 minutach jazdy, docieramy do Kinlochewe, a na koniec dnia zaliczamy skały w Torridon, do upadłego machając łapami na głazach. Robi się już ciemno, więc rozglądamy się za połącją równej trawy, rozbijamy namioty, wyciągamy jedzonko, patrzymy na zachód słońca i uderzamy w sen.

Tego dnia wspinaliśmy się w czterech rejonach oddległych od siebie o nie więcej niż pół godziny jazdy samochodem, odnajdując zupełnie różne rodzaje skały. To jest tutaj niesamowite, że w stosunkowo niewielkiej odległości sąsiadują ściany o różnej fakturze, kolorze, szorstkości i formach. Od wapienia przez zastygłe lawy wulkaniczne do granitu przypominającego Tatry. Coraz bardziej mi się tu podoba, a najlepsza część ciągle jeszcze przed nami...

Wyruszamy na Isle of Skye – legendarną wyspę gór, skalistych wysepek, kłifów, bezludzia i tradycyjnego języka Szkotów – Gealic. O świcie przejeżdżamy przez most. Za godzinę jesteśmy w zatoce Brittle, otoczeni górami Cuillin. Tutaj czeka nas 7-10 wyciągowe wspinanie w stylu tatrzańskim. O dziwo, spotykamy jakieś zespoły. Nie żeby zaraz tłumy, bo raptem może dwa lub trzy (w końcu jest weekend, to najechało się ludzi).

Przechodzimy piękną *Integrity*, a na szczycie kontemplujemy dłużej, w nieskończoność odkładając zejście. Na drodze obławiamy się sprzętem pozostawionym po jakimś

zimowym wycofie. Walka musiała być ostra, bo znaleźliśmy nawet wypalone race. Wieczorem czujemy zmęczenie, więc sen przychodzi szybko.

Rano oczywiście znowu pakujemy się do tego białego straszdyła. Włączam radio z jakąś typową papką. Nie powiem, żeby to było coś w stylu Tercetu Egzotycznego, ale Pat i tak się wkurza i wyłącza, rzuca: „To nie jest żaden cipkowóz, tylko hardcorowa bryka, więc puśćmy coś z klasyki, kolego...” Wchodzi Hendrix ze swoim „Wild Thing”, trochę Stonesów z lat siedemdziesiątych, aż w końcu dłuższa sekwencja Zeppelinów z „Baby, I’m Gonna Leave You” i porażające „Horse Called War” z *Pride and Glory*. Przy ostatnim kawalku Pat wciska gaz do dechy i jedziemy na klify Neist. Tam zwyczajnie lenimy się, zjeżdżając na jednowyciągówce w skałę podobnej do zastygłej, czarnej lawy wulkanicznej. Oprócz tego liczne kawy i herbaty oraz sporo rozważań na temat dziewiczych ścian, których w okolicy jest jeszcze pełno. Wkoło kręci się paru turystów, oglądających latarnię morską i jacyś lokalsi z wędkami (takimi do łowienia). Wspinaczy nie spotkamy już do końca wyjazdu.

Na północy wyspy kręcimy się, rozsmakowując się wolnością wyboru i widokami na wyrastające z wody skaliste oazy. Trzeba by mieć kajak, żeby dostać się do tych wysepek. No cóż, może innym razem...? Tymczasem dojeżdżamy do Kilt Rock niedaleko Staffin. Ściany do złudzenia przypominają plisowany kilt szkockich wojowników. Rysy, zacięcia, tarciove płyty i kanty. Wszystkiego do woli w zupełnym pionie. Górne stanowisko zakładamy z centralnie wbitego w trawę pręta – to powszechne zjawisko w tutejszych skałach. Rejon jest jednym z najwspanialszych, jakie spotkałem. Zjeżdżamy i wspinamy się do upadłego. W większości drogi są na minimalnym poziomie szkockiego 5a/5b, co mniej więcej odpowiada francuskiemu 6a/6b.

Wieczorem wracamy do Inverness, bo czas już wczuć się w nastrój powrotu. Wpadamy do pubu uczcić trip i rozejrzeć się w marzeniach. Gdzie teraz...? Przecież wkoło cała masa wiatraków czekających na swoich Don Kichotów. Coś się znajdzie...

Na zakończenie chciałbym podziękować wszystkim, bez których ten trip nie miałby swojego klimatu. Pato wi za bycie i technikę jazdy godną Mistrza Damona Hilla. Fiszowi i Bolcowi za celne słowo. Wielkim Klasykom za inspirującą potęgę muzyki. Mistrzowi Williamowi za „Być albo nie być...”. Wszystkim, których to dotyczy... za to, że to kumają. Jeśli nie ma cię na liście, to znaczy że nie załapałeś się na tę jazdę, więc spadaj, pakuj graty i ruszaj...

Regan (www.reganclimbing.com)

PORADY PRAKTYCZNE

Lataj czym chcesz, byle taniej i najbliższej Inverness. Tam można bazować. Dobrze jest znać kogoś z miejscowych z samochodem, albo szarpnąć się na wypożyczenie bryki. Można też kupić coś na kołach za jakieś 250€, ale jeśli gлина cię chapnie, to za brak ubezpieczenia zabierają pojazd. Do spania jest wygodny kemping tuż przy Leasure Center, w którym też jest ścianka wspinaczkowa.

W Inverness pierwsze kroki zrób do sklepu wspinaczkowego Macpherson & Sons przy 34 Church Street. Tam dowiesz się wszystkiego o warunkach, przewodnikach, rejonach i drogach. To jest miejsce obowiązkowe. Trzeba wpaść też do Tiso przy High Street, bo tam mają największy wybór przewodników i też można spotkać wspinających się sprzedawców w dziale sprzętowym.

Oplaca się kupić dwie rzeczy: gore-texowe skarpety i siatkę na głowę chroniącą przed wściekłymi meges (małymi muszkami). Szkoci do warunków pogodowych podchodzą w sposób opisowy, a nie wartościujący, dlatego nie istnieje zasadniczy problem warunków, tylko doboru i trudności drogi. Dzięki temu efektywność wspinaczkowa jest duża, choć może nie zawsze na maksymalnie trudnych drogach. Za to często opowieściom o wspinaniu towarzyszy opis warunków. Pogoda zmienia się błyskawicznie i najczęściej sprawdza się powiedzenie miejscowych, że każdego dnia mamy cztery pory roku.

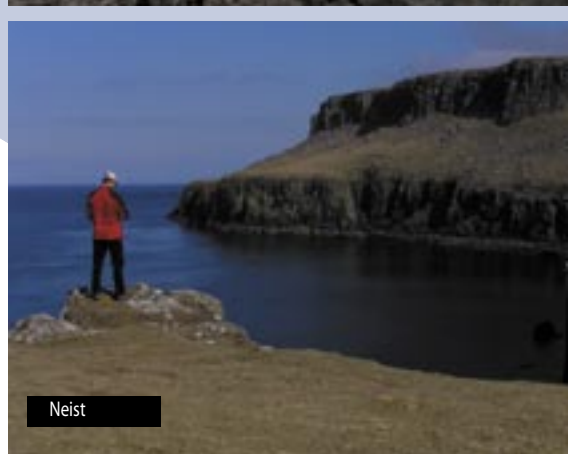
Jeśli zostaną ci jakieś funty szkockie, to zamień je w banku na angielskie, bo w Polsce mają znacznie lepszy kurs.



Isle of Skye – Cuillin



Isle of Skye – Cuillin



Neist



Kilt, chalk and rock&roll